

Gwiazdy i melodie

Rozmowy o książkach, które nie przemijają

Rozmowa z Janem Tyszkiewiczem kompozytorem i wieloletnim autorem programów muzyczno-rozrywkowych sekcji polskiej Radia Wolna Europa.



Jan Tyszkiewicz i Jerzy Kisielewski, fot. arch. Jana Tyszkiewicza.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Jestem po lekturze Pana książki pt. „Arystokrata bez krawata. Gwiazdy i melodie” oraz wysłuchaniu dołączonej płyty z piosenkami - w większości z Pana kompozycjami. Muszę przyznać, że ciągle chodzą mi po głowie te melodie i nie mogę się od nich „uwolnić”. Książka jest zbiorem wywiadów w większości z polskimi gwiazdami piosenki i teatru, które wykonują Pana

utwory. Czytając i jednocześnie słuchając nagrań, miałam wrażenie, że przysłuchuję się wartko przebiegającym, dowcipnym i pełnym anegdot rozmowom w kawiarnianej atmosferze. Czy rozmowy te przeprowadzał Pan z myślą o radiu, czy też od razu z myślą o książce?

Jan Tyszkiewicz

Tym razem rozmowy przeprowadzałem z myślą o książce, bo książka i płyta są jednak bardziej trwałe niż program radiowy. Ale pani powiedziała coś bardzo ważnego, że czytała pani moją książkę słuchając jednocześnie piosenek. To było moim marzeniem, bo tylko słuchając i czytając równocześnie, można właściwie odebrać moją intencję. To było moim zamierzeniem.

Po dwóch poprzednich Pana książkach wspomnieniowej - „Arystokrata bez krawata” i sensacyjnej - „Karecie Asów”, czy pomysł na kolejną książkę jest wynikiem Pana pracy zarówno jako i radiowca, jak i kompozytora?

Absolutnie tak. Jako radiowiec stęskniony byłem przez te lata pracy w Radio Wolna Europa za osobistym kontaktem na antenie z polskimi artystami, bo przecież jak wiadomo, nie wolno było występować im w naszych audycjach. Rozmawiałem wtedy z całym światem artystycznym oprócz Polski. No, a jako kompozytor - jestem wdzięczny tym wszystkim polskim artystycznym osobowościom, że zechciały nagrać moje piosenki.

Pana rozmowy często zaczynają się od zwykłych, codziennych spraw, a potem, nie wiadomo kiedy rozmowa dotyka głębszych pokładów w człowieku, czy też przechodzi do ogólnych przemyśleń na temat rzeczywistości. Czy ma Pan jakiś specjalny klucz, którym otwiera Pan ludzi?

Na pewno te setki rozmów przy mikrofonie dały mi nie małe doświadczenie w otwieraniu ludzi. Ale myślę, że takim głównym kluczem jest podejście do człowieka, którego nauczyłem się jeszcze jako młodziutki chłopak od mojego ojca, a potem od mojego stryja Michała, męża Hanki Ordonówny. Nie ważne czy to jest angielska królowa, król Hiszpanii, portier w hotelu, czy kierowca taksówki - każdy człowiek ma swoją wrażliwość, jest osobną książką i zasługuje na to, żeby się przy nim zatrzymać. Naturalnie są też ludzie bardzo ciekawi i fascynujący, mniej ciekawi, a czasem całkiem nieciekawi.

Czy dla Pana rozmowy z polskimi artystami po 1989 roku, były jednym ze źródeł informacji o współczesnej polskiej rzeczywistości i polskiej kulturze?

Od artystów wiele dowiadywałem się o współczesnej polskiej kulturze i jej mechanizmach. Ale muszę pani zdradzić pewną tajemnicę. O prawdziwej współczesnej rzeczywistości dowiadywałem się od kierowców taksówek. To z nimi nagrywałem pierwsze wywiady, kiedy zacząłem przyjeżdżać do Polski, najczęściej tak od razu na gorąco, gdy odwozili mnie z lotniska do hotelu. W większości byli niezmiernie elokwentni i barwnie opowiadali o codziennym życiu. Bardzo lubiłem także rozmawiać z prostymi ludźmi, ze sprzedawcami w sklepach i w kwaciarniach. Gdy po 50 latach wolno mi było przyjechać do Polski, wszystkiego byłem złąkniony, wszystko mnie interesowało, zupełnie wariowałem, chciałem z każdym człowiekiem, jakiego spotkałem nagrywać wywiad, choć na to nie miałem ani czasu, ani tyle miejsca na antenie. Mnie ludzie szalenie interesują. I wcale nie muszą być gwiazdami. Zacząłem nawet w myślach pisać książki o ludziach. Chodziłem np. do kawiarni i „czytałem” ludzi. Czasami podchodziłem do kogoś i pytałem się: przepraszam, że panu przeszkadzam, ale czy pan nie jest przypadkiem doktorem medycyny? Zdarzało mi się, że zgadłem i zaczynała się wtedy ciekawa wymiana zdań.

Patrzy Pan na ludzi tak jak pisarz, wnikliwie, nie powierzchownie.

Nauczyłem się tego po dwóch latach pobytu w obozie koncentracyjnym w Dachau, kiedy nie można było zamienić paru słów z drugim człowiekiem, tak od serca, trzeba było uważać, aby za dużo nie powiedzieć i trzeba było umieć czytać ludzi. Mnie się wydaje, że najwięcej nauczyłem się od życia, życie dało mi więcej niż studia. Tłumaczone są teraz na język angielski moje pamiętniki. Będą miały tytuł „University of Life” - „Uniwersytet Życia”. Bo w życiu można skończyć tyle fakultetów, człowiek się uczy od innego człowieka, od dobrego i od złego, od zwierzęcia, od natury od wszystkiego wokół siebie.

Jak Pan się przygotowywał zarówno podczas pracy w Radio Wolna Europa jak i potem do wywiadów z gwiazdami? Czy zbierał Pan jak najwięcej wiadomości o danej osobie, czy też wolał Pan, aby rozmowa powstała spontanicznie?

Zawsze wolałem wywiady spontaniczne, nie umiałem też przygotować się do

wywiadu, bo za bardzo lubiłem improwizację, zarówno w programach, jak i w kompozycjach. Ale nauczyłem się jakoś namawiać ludzi, żeby zmiękli. I tak po pierwszych paru sztywnych zdaniach zaczynała się ciekawa rozmowa. Tłumaczyłem, że nadajemy do kraju, gdzie ludzie wiedzą o nich, ale łakną ich wypowiedzi. I oni wtedy robili się ciepli i mówili to, co na prawdę myśleli. Na koniec rozmowy zwykle ich prosiłem, aby powiedzieli parę słów po polsku. Miałem wiele szalenie miłych przeżyć, wynikających ze spotkań ze znanymi artystami.

Czy może Pan o niektórych opowiedzieć?

Jako młody chłopak byłem potwornie nieśmiały. Ale mój stryj mi powiedział: chłopaku, tak to do niczego nie dojdiesz, musisz nawet bezczelnością jakoś się przebijać. I posłuchałem jego rady. Gdy potem bywałem w Cannes na targach muzycznych MIDEM nauczyłem się już zdobywać ludzi na mikrofon. Rozmawiałem więc z różnymi gwiazdami, których nawet wielkie osobowości z BBC, czy z innych znanych stacji nie mogły zdobyć. Kiedyś podszedł do mnie niepozorny, młody człowiek w okularach. Zaczął mnie szarpać za rękaw i mówi: Ty rozmawiasz z tymi znanymi i sławnymi, a nie wiesz o tym, że ja też niedługo będę wielką gwiazdą. Mówił to z taką wiarą, że posadziłem go obok siebie i nagrałem rozmowę. Wyszedł z tego bardzo ciekawy wywiad. A jak się nazywasz? - zapytałem na koniec. - Elton John - odpowiedział. Po paru latach byłem w Londynie, w studiach BBC. Na korytarzu podszedł do mnie Elton John i podziękował mi, że wtedy w Cannes w niego uwierzyłem.

Zarówno z Pana wypowiedzi, jak i z Pana książki wynika, że ceni Pan młodych twórców.

Bardzo lubię młodzież, a szczególnie od czasu, kiedy napisałem suitę „Song for a Better Tomorrow”. Szalenie cenię młodych ludzi, nie tylko za ich talent, ale też i za ich entuzjazm. Np. po premierze mojej suity w Kościele Mariackim w Krakowie, podeszła do mnie młoda dziewczyna i powiedziała: Przepraszam, że Panu przeszkadzam, ale ja będę na prawdę znaną śpiewaczką. Nazywała się Iwona Handzlik i jak się potem okazało, miała przepiękny głos. A parę dni temu dostała etat w Operze Wrocławskiej. Ja w nią uwierzyłem dlatego, że ona tak bardzo w siebie wierzyła.

Czy Pana wiara w młodych łączy się z Pana młodością i marzeniami, że zostanie Pan kompozytorem, jak Cole Porter?

Na pewno tak. Byłem dzieckiem wojny, później zaczynałem naukę niż inni zaczynają. Dużo zawdzięczam mojemu stryjowi, który mi wytłumaczył najważniejszą teorię życiową: Jeżeli na prawdę czegoś chcesz, to w większości wypadków ci się to uda. Wtedy, kiedy marzyło mi się zostać kompozytorem, wydawało mi się to nierealne. Teraz, też nie uważam się za żadnego geniusza, po prostu napisałem parę piosenek, ale uwielbiałem swoją pracę, a to jest na prawdę bardzo ważna rzecz.



Jan Tyszkiewicz (w środku), Andrzej Rosiewicz (z lewej) i Krzysztof Daukszewicz (z prawej) podczas benefisu w krakowskim Teatrze STU w 2000 r., fot. arch. Jana Tyszkiewicza.

Na płycie dołączonej do książki są bardzo różne utwory, zarówno pod względem stylu, jak i klimatu, od lirycznych i romantycznych, poprzez żartobliwe, kabaretowe, aż po rap.

Mój najmłodszy syn miał 17 lat, musiałem więc napisać rap, żeby sobie nie myślał, że tylko on umie rapować, a tata jest gorszy. Poza tym ja szalenie lubię kontrasty i

inspiracje wpływające z tych kontrastów.

Mam wrażenie, że bliski jest też Panu żart muzyczny i zaskakiwanie słuchacza. Czy to prawda?

Tak, to wynika właśnie z tego, że jestem zwolennikiem kontrastów i niespodzianek. A żart, czy to w muzyce, w sztuce, czy w codziennym życiu cenię sobie ponad wszystko. Poczucie humoru uważam za jedną z najważniejszych ludzkich cech.

Ciekawostką jest umieszczenie na płycie popularnej piosenki góralskiej „Za górami, za lasami...” śpiewanej przez włoski zespół Lauro Minzonię. Jak udało się Panu nauczyć Włochów śpiewać gwara góralską?

Włosi są szalenie muzykalni i zdolni. Bardzo lubiłem pracować z Włochami. Co do zespołu Lauro Minzonię, uczyłem ich śpiewać fonetycznie, a oni bardzo dobrze wymawiali te wszystkie: „Pije Kuba do Jakuba”. W momencie, kiedy zaczynaliśmy nagrywać, bardzo często szeptałem im do ucha „za górami za lasami”, żeby dodać im odwagi. A jak zobaczyli jaką furorę zrobili w Polsce, to sami poprosili, żeby więcej nagrywać z nimi takich piosenek.

Napisał Pan w książce wspomnieniowej, że słuchanie jazzu w Polsce w okresie komunizmu było wyrazem potrzeby wolności. Czy dlatego rozmawiał Pan na antenie Radia Wolna Europa z wieloma wykonawcami jazzowymi i zapoznawał Pan polskich słuchaczy z jazzem?

Wtedy krążyła taka teoria, że jazz dla młodych ludzi, żyjących w kraju pod reżimem komunistycznym, był oznaką swego rodzaju opozycji. Jednak gdy rozmawiałem z jazzmanami, to dlatego, że bardzo ceniłem ich muzyczne osiągnięcia, a także dlatego, że nasi słuchacze często w listach prosili o ich nagrania. Zresztą w Polsce i było i jest bardzo wielu dobrych muzyków jazzowych i jazzowych fanatyków.

Rozmawiał Pan z wieloma słynnymi wykonawcami jazzowymi (Ella Fitzgerald, Louis Armstrong, Count Basie, Duke Ellington, Stan Kenton, Oscar Peterson, Herbie Hancock, John Mc Laughlin). Który z tych wykonawców zrobił na Panu największe wrażenie?

Największe wrażenie zrobił na mnie najmniej znany w świecie jazzu, John Mc

Laughlin. Wysyłał na przerwę swoich muzyków z zespołu i sam grał na wszystkich instrumentach, a jak nie umiał na jakimś grać, to imitował go głosem. Tak samo uwielbiałem Stana Kentona za jego sekcję puzonów. Louisa Armstronga, też szalenie lubiłem. Wystąpił kiedyś na festiwalu w San Remo i śpiewał po włosku, choć nikt nie mógł zrozumieć, ani uwierzyć, że był to język włoski. Ale przy tym był taki miłutki. Wielu Amerykanów uważało go za ambasadora Ameryki, nie tylko w dziedzinie muzyki, ale w ogóle.

A inne osobowości świata muzycznego? Czy któreś ze spotkań szczególnie Pan zapamiętał?

Bardzo duże wrażenie zrobił na mnie Artur Rubinstein. Dostałem jego ukryty numer telefonu do Genewy. Nie odpowiadał na telefony, a miał wówczas 95 lat. Było to podczas stanu wojennego w Polsce, godzinami prowadziłem więc audycje na żywo, ale czasami puszczałem dość długie utwory muzyczne i wtedy mogłem dzwonić do ludzi. Podczas jednej z takich przerw zadzwoniłem do Rubinsteina. Na szczęście sam podniósł słuchawkę. Maestro, przy telefonie Jan Tyszkiewicz - mówię - a on na to od razu odpowiada - to pana matka, z domu Tarnowska - a za chwilę, nie wiedząc skąd dzwonię - niech pan przyjedzie na herbatę. Po tym telefonie szybko zadzwoniłem do mojego szefa Zygmunta Michałowskiego, a on do mnie mówi - co ty tu jeszcze robisz, wsiadaj do następnego samolotu, to bardzo ważna sprawa. I tak zdążyłem na herbatę do Genewy. Rozmowa była tak ciekawa, że zapamiętałem ją na długo.

Zupełnie inny, ale też zaliczany do tych najciekawszych wywiadów miałem z Georgem Harrisonem, już po rozpadzie zespołu The Beatles. Gdy przyjechał do Cannes, zapowiedział, że nie udziela wywiadów. A ja podszedłem do niego na korytarzu i mówię - George, przepraszam bardzo, ale ja tu specjalnie przyjechałem, bo obiecałem moim słuchaczom, że dziś w Panoramie będę z Tobą rozmawiał. - No dobrze, to przyjdź do mojego pokoju - odpowiedział i podał mi numer pokoju. Mieliśmy długą i szalenie ciekawą rozmowę o wszystkim, o muzyce, filozofii, o życiu. Okazał się bardzo inteligentnym człowiekiem.

Kiedy powstała w Panu potrzeba, aby po tylu latach pracy w radio, chwycić za pióro?

Gdy w 1992 roku przeszedłem na emeryturę, to ani jednego dnia nie przestałem

pracować. Na szczęście mogłem już wtedy przyjeżdżać do Polski. Mój ówczesny szef Piotr Mroczyk wysyłał mnie więc na wywiady jako tzw. wolnego strzelca. Nagrałem bardzo dużo rozmów, o czym już wcześniej wspominałem. A potem zacząłem marzyć o pisaniu. Napisałem pamiętniki, bo leżały mi na sercu, a poza tym wszyscy mi wmawiali, że w swoim życiu miałem tyle samo negatywnych historii, co i pozytywnych i warto to wszystko utrwalić.

Ma Pan niezwykle bogate życie, dobrze więc, że powstała książka wspomnieniowa. Kontakt z ciekawymi wykonawcami Pana piosenek doprowadził do powstania książki „Gwiazdy i melodie”. Proszę mi powiedzieć jak wobec tego powstała „Kareta Asów” - powieść sensacyjna, opisująca działania czwórki przyjaciół, przeciwstawiających się światowemu terrorowi i narkotykowym gangom. To przecież zupełnie inny styl pisarski.

Jestem fanatycznym przeciwnikiem narkotyków, bo widziałem młodych artystów, którzy umierali jako młodzi ludzie z powodu narkotyków, stawali się inwalidami. Dlatego przyszło mi do głowy napisanie takiej książki. Na jakiś czas zamieszkałem w małym domku u mojego przyjaciela w Miami na Florydzie i tam spokojnie pisałem. Książkę miałem już prawie skończoną, kiedy w Polsce ogłoszono stan wojenny. W tej sytuacji mój szef wezwał mnie do pracy i książkę skończyłem w Monachium.



Proszę podzielić się swoimi planami artystyczno-pisarskimi. Czy ma Pan w planie kolejną książkę?

Kolejna książka, byłaby połączona albo z filmem, albo z programem telewizyjnym. Chciałbym opowiedzieć o niesamowitych ludziach, których spotkałem. Nie jest ich tak dużo. Jedną z tych osób jest Amerykanin - jezuita, który jako bardzo młody ksiądz, udzielił pierwszej komunii mojemu najstarszemu synowi. Zrobił na mnie niesamowite wrażenie, kiedy podczas cichej Mszy Św. w kaplicy Radia Wolna Europa

i Radia Svoboda powiedział – A teraz odmówimy najważniejszą modlitwę jaka istnieje – Ojciec nasz. I proszę, aby każdy odmawiał ją w swoim języku. Było w tym coś wzruszającego. Ten jezuita Brian Mc Dermott, jest szefem całego zakonu jezuitów w Ameryce.

Drugą osobą jest pani psycholog od przestępców z Warszawy, specjalizująca się w badaniu i terapii przestępców. Chodziła do ich cel i ich „rozbijała”. Nagrałem z nią bardzo długi wywiad.

A trzecią osobą jest Szwajcar, który potrafi bardzo szybko swoich pacjentów powstrzymać od palenia, picia i brania narkotyków.

To są tak kontrastujące osobowości. Mam nadzieję, że projekt się uda.

Pytał się Pan tylu osób o ich stosunek do życia, życiowe wartości i przemyślenia. Jaka jest Pana hierarchia wartości?

Myszę, że najważniejsza dla mnie jest rodzina, to ona daje mi siłę do życia. Bardzo kocham swoją żonę. Za młodych lat, zanim ją poznałem, byłem trochę takim zawadiaką i wtedy nie przypuszczałem, jak ważny jest przyjaciel w życiu, jak ważna jest rodzina. Żona nie raz, w trudnych chwilach bardzo mi pomogła. Zarówno ona, jak i moi synowie są dla mnie najważniejsi.

Nie boję się starości, bo uważam, że gdy się ciągle robi to, co się lubi, to to utrzymuje człowieka w zdrowiu, w chęci do życia i w optymizmie.

Zawsze podkreślam, że bardzo ważne jest poczucie humoru. Dzięki niemu przeszedłem wiele bardzo trudnych chwil. Nie mówię o obozie koncentracyjnym, ale np. po operacji byłem w komie. A potem napisałem „Song for a Better Tomorrow”.

Każdy krok w życiu czegoś człowieka uczy. Każdy człowiek jest taką małą lekcją, jeden ciekawszą, drugi mniej ciekawą. Trzeba z otwartymi oczami iść przez życie. Życie – to jest bardzo ciekawa rzecz.

Jan Jerzy Hubert Tyszkiewicz zmarł 7 listopada 2009 roku w Oberndorfie (Austria).

Jan Tyszkiewicz, *Arystokrata bez krawata*. Gwiazdy i melodie, wyd. Nowy Świat, Warszawa 2006. Do książki dołączona jest płyta z 26-cioma piosenkami.

Fragment książki Jana Tyszkiewicza „Arystokrata bez krawata” ukaże się w poniedziałek 16 kwietnia 2018 r.